

Mówią, że kiedyś żyliśmy inaczej, mówią i – jak to zwykle bywa – popierają różnorodne punkty widzenia przeciwstawnymi argumentami. Rzetelność naukowa, inwencja własna, doświadczenie życiowe, uprzedzenia i własne poczucie bezpieczeństwa, wszystko to kreśli obecny ład, bądź przeszły chaos w zależności od tego, na co wskazują dowody bądź przekonania. Naukowcy popierają swoje tezy tabelami i wykresami ponurych statystyk, starszyzna - podniszczonymi fotografiami i archiwami. W zestawieniu przeszłości z teraźniejszością, klaruje się jednoznaczny wniosek; było dużo gorzej.

Sissi rozłożyła gazetę i uśmiechnęła się, spokój rozplywa się po jej twarzy w tak uderzający sposób, że przez moment wygląda na nastolatkę.

- Epidemia się kończy.

Rozpiera się wygodniej w fotelu i kaszle, jednak nie ma problemów ze zdrowiem – robi to dla zwrócenia uwagi, tylko wtedy, gdy zamierza mówić o czymś istotnym. Pochylam się ku niej, nie zamierzam pozabawiać jej szansy przekazania sensacji, która już tydzień temu rozentuzjasmowała całe miasto, kraj, świat, a teraz zakiełkowała i bujnie rozkwitła w umyśle Sissi.

- Opowiadaj – mówię z mocą i wykonuję łagodny gest dłonią, którym można by zachęcić wystraszone dziecko do przejścia przez ulicę – Czego się dowiedziałaś?

- Nie naśmiewaj się ze staruszki, chłopcze. – prychna - Doskonale o tym wiedziałam już miesiąc temu – po prostu za każdym razem brzmi to tak samo dobrze.

- *„Piętnaście osób z objawami gorączki niedzielnej trafiło do szpitala. – czyta - Po dwutygodniowej obserwacji i zastosowaniu kuracji farmakologicznej pacjenci, w tym dwoje dzieci, w dobrym stanie powróciło do domu. Osoby dotknięte gorączką zamieszkiwały to samo osiedle mieszkaniowe, teren został poddany inspekcji sanitarnej...”*

- Sissi, co to jest gorączka niedzielna? – wtrąca się moja mała siostra, Lisa - Dlaczego niedzielna? Prawie każda choroba jest niedzielna, a niektóre zdarzają się we wtorek albo sobotę.

Sissi odpowiada, że czasy się zmieniły.

- Niedzielny, znaczy tyle, co rzadki – tłumaczy cierpliwie - Chorujemy rzadziej niż nasi rodzice i dziadkowie – to znaczy moi - a jeszcze rzadziej umieramy. Spójrz na mnie. Mam siedemdziesiąt siedem lat, ale nieskończone! Pomyśl, dzieciaku, w czasach, gdy byłam w twoim wieku gorączki niedzielnej nikt nie nazywałby epidemią!

Lisa przechyliła głowę i szerzej otwiera oczy.

- Nie było epidemii?

Sissi zamyśla się, jakby chciała coś dodać, ale szybko zmienia temat. Chętnie odpowiada na pytania Lisy, ale robi to w słusznie wyważony sposób. Moja siostra należy do dziewczynek, które przenoszą żaby i ślimaki na drugą stronę jezdni i spędzają godziny nad stawem, karmiąc kaczki. Masowe zgony wywoływane chorobami takimi jak dżuma, polio, czy AIDS nie należą do tematów, pozwalających wrażliw-

com sypiać bez lęku, zwłaszcza, że ostatnie, co można by zarzucić Sissi, to brak zdolności do opowiadania historii obfitujących w detale.

- Nie bądź taka ciekawska, malutka – śmieje się i nagle odchrząkuje, a jej policzki delikatnie różowieją, jakby jednak się zagalopowała.

Każdy mieszkaniec Nowej Ziemi wie, że największą hańbą jest lekceważenie wiedzy historycznej. Czytanie dzieciom gazet i książek, rozbudzanie ich ciekawości, należy do tradycji porównywalnej do brytyjskiego picia herbaty. Sissi na powrót odzyskuje rezon, odnajduje właściwy dla psychiki Lisy akapit i zaczyna czytać artykuł o Instytucie Sztuk Ścisłych i Humanistycznych.

- Założony w 2030 roku Instytut Wszech nauk, zwany oficjalnie...

Kiedy czyta, odpływam myślami. Równie dobrze sam mogę wam o nim opowiedzieć.

Nie ma przesady w stwierdzeniu, że nie sposób wyobrazić sobie naszą codzienność bez Instytutu. Trzysta lat istnienia jednego z największych ośrodków naukowo-badawczych na świecie stanowiło chlubną kartę naszej historii, co umożliwiło dostrzeżenie powierzchniowo niewielkiej Nowej Ziemi przez mocarstwa takie jak Stany Zjednoczone, czy Japonia. Opracowaliśmy lek na AIDS i chorobę Alzheimera, które z wyroków śmierci stały się niespotykanymi już, wręcz egzotycznymi opisami. Nabrawszy postać niemalże bajki dla niegrzecznych dzieci, przywoływały przeszłość tak odległą, iż wyzbyliśmy się współczucia dla ich ofiar. Instytut Sztuk Ścisłych i Humanistycznych, nie zawierał już w swej nazwie słowa „nauka” jak w pierwszym stuleciu istnienia. Zatarliśmy granicę między dziedzinami nauki i sztuki, zestawiając rozsądek i harmonię z życiową pasją i prawdziwym oddaniem sprawie, więc pierwotna nazwa stała się niewystarczająca. Rozwinęliśmy technologie rolnictwa, tworząc w efekcie populację płodnych i zdrowych roślin i zwierząt. Spowolniliśmy proces starzenia się naszych ciał i wygasania umysłów. Naukowcy, przewyższając moralnie każdą władzę, potrafili jednocześnie zachować względem niej racjonalny dystans. Nigdy nie widziałem żadnego z nich w telewizji, czy jakimkolwiek niefachowym czasopiśmie.

Rozwijając Instytut, pchaliśmy świat do przodu i ochranialiśmy wartość i mądrość zwykłych ludzi. Pragnąłem członkostwa w nim odkąd sięgam pamięcią, do stopnia, w którym nie potrafię oddzielić się od niego w żaden sposób, nawet poprzez gramatykę. Zawsze ja i on. Zawsze my – ja i moi upragnieni współtowarzysze, którzy byliby gotowi poświęcić idei całe swoje życie, a nawet spokojną śmierć.

- Nie panikuj.

Oboje setki razy słyszeli te dwa słowa, i równie często je wypowiadali, najczęściej w sytuacjach, gdy nie istniało realne zagrożenie, chociaż jego widmo było wszechobecne. Mimo że łagodny klimat nie sprzyjał katastrofom naturalnym, a obywatele Nowej Ziemi właściwie przezwyciężyli choroby, nigdy nie uwolnili się od przemocy. Długowieczność działała jak papierek lakmusowy, skuteczny wskaźnik najmroczniejszych aspektów ludzkiej natury, jakby moment spotkania z sądem ostatecznym, czy jakkolwiek inną ponadmaterialną sprawiedliwością sprawiał, że moralność częściej znikła z pola świadomości.

Jednak o tej porze alejka była bezpiecznie opustoszała. To ten moment pewnego zawieszenia w środku

dnia, pomiędzy monotonnym przedpołudniem a ruchliwym popołudniem gdy większość dorosłych jeszcze pracowała, a niektórzy uczniowie, ci, którzy kończyli zajęcia w szkole najwcześniej, niespiesznie wracali do domów. O innej porze dnia rodzeństwo z całą pewnością wzbudziłoby niezdrową sensację.

- Luke, uspokój się.

Pochylił się i ukrył twarz między kolanami. Wzbierała w nim niepokojąca słabość, paradoksalna siła, która chociaż pobudzała bicie serca, sprawiała, że nie był w stanie uspokoić oddechu, wydusić słowa, czy przywołać do działania zdrowy rozsądek. Głos Lisy przybrał błagalny ton.

- Luke, musisz się uspokoić, wszystko w porządku. To tylko wspomnienia.

Przyczyną była ławka. W jakiś sposób, kilka zbitych razem desek zamieniało jej rozsądnego, do bólu logicznego brata w trzęsącą się galaretkę. Lisa czytała dużo więcej książek, niż ktokolwiek przypuszczał, również tych nieodpowiednich dla jej wieku, jak ujęłaby to Sissi - naszpikowanych ohydą. Współczuła bratu. Domyślała się, że musiał być świadkiem czegoś naprawdę koszmarnego, co rozegrało się właśnie tutaj, skoro za każdym razem na widok ławki reagował tym samym, irracjonalnym strachem. Wiedziała, że próbując go uspokoić wpędzała go jedynie w poczucie upokorzenia. Nieważne jak bardzo chciał, nie był w stanie spełnić jej prośb.

Chwyciła go za dłoń. Luke powlókł wkoło dzikim spojrzeniem i zatrzymał je kilka metrów dalej. Sprzedawca lodów zniósł je przez kilka sekund i odwrócił się plecami, kręcąc głową.

Nieco bardziej zdecydowanie pociągnęła go w stronę rogu ulicy. Musiała zmusić Lucasa do współpracy, jeśli nie chciała znów zetknąć się z policjantami, zadającymi kłopotliwe pytania w formie dziwacznie spowolnionych sylab. Lisa miała wrażenie, że skupiali się na wszystkim, za wyjątkiem odpowiedzi. „Tak, tak, rozumiemy” - kwitowali ich słowa leniwymi skinieniami głowy, niestarczając skrywając dokładnie odwrotną treść. Kiedyś, może trzy miesiące wcześniej, skończyło się na kluciu. Lisa zapamiętała przede wszystkim długą, niepokojącą igłę i zastygający nagle wyraz twarzy Luka, kiedy otrzeźwiał go ból.

Zwykle podczas nauki zastygał nad podręcznikami. Znała doskonale ten zagadkowy uśmiech, który wtedy pojawiał się na jego twarzy; taki sam widywała w szkole, u swoich kolegów, próbujących zerknąć na jej arkusz podczas sprawdzianów. Strach maskowany przekonaniem, że jest wart ryzyka. W przypadku brata Lisa była pewna: rozumiał materiał, a to ten rodzaj intelektualnego szaleństwa, w którym usiłował wzbic się ponad ustaloną treść i poszukiwał potencjalnie przełomowych skojarzeń. Jednak przez kilka dni po kluciu, w jego oczach dostrzegała tylko pustkę, a w zamyśleniu coś, co sprawiało Lisie niemal namacalny ból, wyrastający z jego cierpienia, tym dotkliwszy, że nie była w stanie go zrozumieć.

Gdy wreszcie dotarli do domu, zaparzyła ziołowej herbaty. Gorący napój nasączył powietrze aromatem tak intensywnym, że od samego oddychania ogarniała ją senność.

Lucas usiadł na kanapie. Wyściełony ciężkim kocem i miękkimi poduszkami, solidny, elegancki mebel, był wyjątkowy dla obojga. Tutaj jedli zakazane przekąski między posiłkami, odrabiali lekcje i grali w szachy, jednak z czasem każde z nich chciało zająć kanapę wraz ze swoimi przyjaciółmi, wykluczając osobę i paczkę tego drugiego.

Nie od razu zaczął pić, znów zagadkowo przygaszony.

- Luke, co się tam wydarzyło?

Odstawił szklankę na podłogę i położył się na wznak. Gdy poprawiała mu poduszkę, westchnął i przymknął oczy. Po chwili już spał. A może udawał? Nie zdziwiłaby się, gdyby tak było. Lisa wiedziała, że jest dla niego jedynie młodszą siostrą, kiepskim materiałem na powiernika. Usiadła na skraju kanapy i utkwiała spojrzenie w jego dłoni, tej ułożonej wnętrzem do góry. Śledziła spojrzeniem linie, ścieżki przeznaczenia i przeszłości, blizny po otarciach i szwach, pochodzących jeszcze z czasów wczesnego dzieciństwa, efekty nadmiernie ciekawskiej natury. Skóra na zagojonych ranach stała się gruba i szorstka, jak na stopach, kolejna bariera chroniąca tętniące wnętrze.

Z końcem maja nadeszły letnie dni, zlewające się gładko w jedno jak krople wody w jeziorze, wypełnione po brzegi ciężkim, upalnym powietrzem i senną beczynnością. Jedynie z rzadka, wszechobecną jednolitość zaburzały fale chłodnego wiatru, burze i niespodziewane pęknięcia w rutynie w postaci niezapowiedzianej wizyty kogoś z sąsiedztwa czy dalszej rodziny.

Nowa Ziemia była niewielką wyspą na środku oceanu Atlantyckiego, ciepły klimat nie stanowił zatem nowości, jednak to lato stanowiło zapowiedź czegoś nieznośnego. Mieszkańcy snuli się po ulicach leniwie i z rzadka, pochowani w domach zastawionych wiatrakami. Lukas kontynuował naukę przed ostatnimi egzaminami, chwytając poćwiartowane strzępki informacji, które wirowały w jego pamięci, mieszając się z sobą w chaotyczne zbitki i potęgując ogólne zmęczenie zarówno umysłu, jak i ciała. Spacerował po pokoju, jego usta poruszały się, a ręce gestykulowały, jakby wygłaszał wykład, co rozbawiało Laureę ilekroć zdarzyło jej się przyłapać go na powtarzaniu. Niektórzy z jego kolegów uczyli się wspólnie, odpytując się na szkolnych schodach i korytarzach przed zamkniętymi klasami, jednak Lukas zapatrywał się na to niechętnie, obawiając się publicznej demaskacji braku wiedzy, co naruszyłoby już i tak nadwątloną pewność co do własnego dobrego przygotowania. Przed testem z analizy historycznej wychodził z pokoju już tylko po to, żeby skorzystać z łazienki. Co jakiś czas wciskał naścienny przycisk i obserwując w metalowej obudowie swoje zniekształcone, zaniedbane odbicie, wypowiadał ochryplym głosem:

- Woda!

Mechaniczne ramię wysuwało się z cichym zgrzytem podając mu zamówienie. Oferta napojów i posiłków była dość uboga i z racji wielu lat użytkowania dystrybutor nadawał jedzeniu i piciu lekki metaliczny posmak, jednak Lukasowi żal było czasu na dłuższe przerwy, żeby samemu przygotować coś smaczniejszego.

Zmaganie się z ograniczeniami własnej pamięci i zdolności uczenia się nie stwarzało jednak dla Lukasa tak dużych trudności jak noce. Wspierał się melisą i walerianą, mimo to sen często nie nadchodził. Rodzina zrzucała to na karb stresu, Lukas nie dzielił się z nikim snami; płytkimi, niespokojnymi obrazami, które przesuwwały się pod jego powiekami, przywołując Ławkę – solidną konstrukcję, lekko odrapane i wyszczerbione deski siedzenia, łukowate oparcie i podłokietniki delikatnie obramowane blaskiem księżycy. Zawsze nawiedzała Lukasa pogrążona w ciemności, chociaż niemal za każdym razem na jawie widywał ją w świetle dnia, w parku, który mijał wracając ze szkoły. Jednej nocy nosiła ślady krwi, innej odkrywał na niej fragmenty mięsa – bez wątpienia ludzkich wnętrzności. Raz przeraził go szkielet: pierścienie kręgów i otaczające je łuki żeber, gdzieś tam wyłamane. Sen kończył się zawsze tak samo: gdy

wciągał powietrze odurzała go woń rozkładu i wybudzały silne nudności. Po przebudzeniu często wymiotował i nie mógł już ponownie zasnąć. Lukas znał znaczenie tych słów, ich tragiczną symbolikę; ukrytego w nich mężczyznę, który wkłada w usta pistolet i naciska na spust, nieodwracalnie plamiąc Ławkę zbrodnią na własnej naturze.

W dniu egzaminów wstępnych do Instytutu odbył się pogrzeb. Jeszcze wiele lat później, Lisa pamiętała szczegóły tamtego dnia; poranne szare niebo ciężkie od wilgoci, pod nim każda sztuka ubrania jednolicie czarna, kontrastująca z bladymi twarzami. Matki, żony, siostry i kochanki wkroczyły do kościoła w towarzystwie braci i ojców. Brakowało córek i synów, za wyjątkiem jednego kwilącego niemowlęcia – zmarli byli bardzo młodzi. Lisa obserwowała z okna godnie znoszące ból panie, w dumnym milczeniu podążające alejką ku świątyni, mijane przez przechodniów, którzy z szacunkiem usuwali się z drogi, by pędzić do swoich spraw, jakby nagle zapomnieli o leniwie ścielącymi się przed nimi łańcami perspektyw, dziesiątkach dekad do przeżycia. Nieboszczyków otaczała specyficzna aura smutku, znacznie intensywniej niż w przypadku śmierci starszych ludzi podszycona współczuciem i taktownym milczeniem.

Zamęczona pytaniami przez Lisę, Sissi wyjaśniła, że pięciu mężczyzn odebrało sobie życie.

- Bywa, że ludzie nie radzą sobie z czasem, który mają przed sobą. Zwłaszcza, gdy zaczynają cierpieć w młodym wieku – odparła filozoficznie i zabroniła Lisie kiedykolwiek jeszcze mówić na ten temat.

Dziewczynka próbowała znaleźć informacje samodzielnie, jednak w domu nie mieli połączenia z Internetem ani telewizora – Sissi uznawała jedynie książki – a znaleziona przez nią gazeta została starannie ocenzurowana. Po wyrwanych stronach pozostały jedynie pozbawione treści strzępy i wygięte zszywkę, o które Lisa skaleczyła sobie palec.

Początkowo zamierzała wybrać się do miasta i poczytać artykuły na ten temat w gazetach w czytelnicy, jednak wkrótce zapomniała o całej sprawie, bo odświętne ubranie brata przypomniało jej o innym aspekcie tego tragicznego dnia.

Przykładając pulsujący bólem palec do chłodnej szyby początkowo nie zauważyła, że Lucas pojawił się w kuchni.

Ubrany w garniturowe spodnie, białą koszulę i brązowe skóropodobne buty zatrzymał się w progu. Na ten dzień starannie dobrał krawat; dorodny węzeł wpijał się w zagłębienie szyi, tuż pod delikatną szczecinę zarostu i spływał błękitnym paskiem materiału na klatkę piersiową. Chłopak nerwowo przyglądał włosy, na tyle krótkie, by nie zakrywały uszu, na tyle długie, by zaczesać je do tyłu, co właśnie uczynił.

- Jak wyglądam?

- Piękny absolwent – zaświergotała Sissi, biorąc twarz chłopca w pomarszczone dłonie i wyciskając na czole wilgotny pocałunek – Usiądź, zaraz podam śniadanie.

- Nie wiem, czy dam radę cokolwiek zjeść – odparł i z trudem przełknął ślinę, kiedy Sissi odwróciła się w stronę kuchni. Nadal wspominał sen o samobójcy.

- Denerwujesz się egzaminami? – zapytała Lisa współczująco, nie bez trudu otwierając słoik konfitury

wisniowej. Wieczko ustąpiło z cichym kliknięciem.

- Bardzo.... Boję się, że...

- Lisa, nie jedz palcami! – zawołała Sissi. Lisa posłusznie cofnęła dłoń.

Z impetem postawiła na stole miseczkę ugotowanych na twardo jajek. Następnie dostawiła talerz kromek z masłem, dzbanuszek herbaty i salaterkę wypełnioną wędlinami, plastrami żółtego sera i prostopadłościanami twarogu. Gdy rodzeństwo zaczęło przygotowywać sobie kanapki, na stole pojawiły się filiżanki z herbatą, krążki cytryny i pokruszone kostki cukru.

Sissi wpatrzyła się we wnuka.

- Lucas, zjedz cokolwiek, bo znowu...

Przed egzaminami do szkoły średniej – tymi, które czekały Lisę dopiero za rok – Lucas z nerwów nie był w stanie zjeść śniadania, a tuż przed ostatnim testem, wchodząc do sali egzaminacyjnej, prawie stracił przytomność.

- Przestań – Lucas skrzywił się i natychmiast sięgnął po kromkę.

Reakcja brata wydała się Lisie przesadą, jednak rozumiała, jak bardzo starał się chronić swoją dumę. Osłonięta pozą pozornej obojętności, mogła robić wrażenie jedynie na rówieśnikach, i to tylko tych, którzy znali go przelotnie.

Połknął śniadanie szybciej, niż Lisa zdążyła przygotować swoje, pożegnał się sztywno i wyszedł. Sissi śledziła jego sylwetkę z okna, dopóki nie wmieszał się w tłum przechodniów.

Gdy zniknął jej z oczu, stała w bezruchu jeszcze przez minutę lub dwie, niemal nie mrugając.

- Nie chcę, żeby się dostał.

Lisa nie była pewna, czy naprawdę Sissi to powiedziała, chociaż przez cały czas patrzyła na jej usta, na układające się w słowa wargi. Wymknęły się z jej ust cicho, nieco wstydliwie, jakby chciały wmieszać się w sącący się zza okna gwar poranka.

W godzinę od wyjścia Luke'a, Sissi rozboleła głowa – mimo ogromnego medycznego postępu drobne dolegliwości wciąż trapiły mieszkańców Nowej Ziemi – więc niedługo po śniadaniu zniknęła w swojej sypialni. Lisa nudziła się i wciąż zastanawiała nad słowami babci. Dlaczego nie życzy Lukowi dostania się do Instytutu? Dziewczynka z irytacją przyjmowała fakt, że Sissi znów unika odpowiedzi na jej pytania.

Po południu przyszła Dziewczyna. Miała długie, ciemne włosy, o odcieniu tak bardzo zwyczajnym, jakby pokolorowane brązową kredką. Spod grzywki wyglądały nieco skośne oczy, przypominające rozciągnięte łązki. Zielone tęczęwki słabo przełamwały jasnoszary, niezdrowy odcień skóry. Poza tym nos – wąski u nasady i spiczasty na końcu. Lisa nie lubiła Dziewczyny; uważała ją za brzydką i była pewna, że słyszała kiedyś, jak Dziewczyna w rozmowie z Lukiem nazwała Lisę rozpuszczonym bachorem. Sissi tłumaczyła, że w życiu młodego mężczyzny często pojawiają się różne dziewczyny, że ona – tu padło jej imię – może

okazać się tą wyjątkową, ale Lisa przekornie nie przestawała nazywać ją na głos tylko tą lub tamtą Dziewczyną. Ulotną istotą, która wreszcie zniknie, rozplynie się w szare tło pozostałych, nic dla Luke'a nie znaczących.

Sissi spała, więc Lisa niechętnie otworzyła jej drzwi.

- Wrócił już? – zapytała bez powitania, a dziewczynka bez słowa przepuściła ją w wejściu i poprowadziła do kuchni.

- Woda! – mruknęła z mściwą satysfakcją i podała Dziewczynie szklankę z metaliczną wodą.

Ona rozsiadła się na krześle Luke'a pod oknem i mówiła, mówiła. Dużo, nie zwracając uwagi na to, czy jest słuchana.

- Luke'a nie ma – oznajmiła Lisa - Nie wiem, czy ci powiedział, ale wraca dopiero wieczorem.

- Wychodzi świętować?

- Nie wiem. Może. Dziwne, że bez ciebie.

- To takie ważne dla niego – westchnęła Dziewczyna – oby mu się udało.

Wkrótce rodzinę i najbliższych znajomych obiegła wieść, że Luke stał się studentem dwudziestego rocznika Instytutu. Okrągły rok 2050 zwiastował wiele nowych badań, jak wyczytał w broszurce czekając na złożenie dokumentów. Uwagę chłopaka przykuła zwłaszcza jaskrawoczerwona tabelka z tematami bieżących projektów, a konkretnie hasło na jej szczycie. Długowieczność. Instytut był podzielony na cztery Wydziały: Rolnictwa i Żywności, Nauk Ścisłych, Medycyny i Pedagogiki. Wydział Pedagogiki zajmował się prowadzeniem szkół powszechnych, szkoląc zarówno pracowników fizycznych, jak i umysłowych. Zgodnie z jego marzeniami i osiągnięciami w całej dotychczasowej edukacji, Luke'a przydzielono do Wydziału Medycznego. Nie miał jednak w przyszłości leczyć ludzi – każdy wydział, z wyjątkiem Pedagogiki, zajmował się wyłącznie pracą badawczą. Być może umysł wysycony wiedzą i późniejszym sukcesem przyniósł wreszcie pewien spokój; Luke z ulgą odkrył, że sen o samobójcy stał się coraz rzadszy, aż wreszcie ustąpił, podobnie jak kompromitujące ataki paniki. Na myśl o czekających go latach czuł lekkość i rozlewające się w klatce piersiowej przyjemne mrowienie. Był szczęśliwy. Jego dziewczyna, Mary, została przyjęta na Wydział Pedagogiki. W jednej ręce ścisnął więc ciepłą dłoń ukochanej, w drugiej wciąż trzymał ulotkę opisującą projekty Instytutu, kiedy został wezwany przez członka komisji rekrutacyjnej. Wszedł do jasno oświetlanego pomieszczenia. Ciężkie, dębowe regały zastawiały okna zasłaniając światło, rozstawione jakby w pośpiechu i bez uwzględnienia wymiarów pomieszczenia. Meble wciąż były niedosunięte do ścian - można by uznać, że stały tam jedynie tymczasowo, a ich fatalne rozmieszczenie sprawiało, że promienie słońca nie docierały do siedzącej przy biurku drobnej, wychudzonej kobiety o szarej twarzy i wystających łopatkach. Lukas przywitał się i zaproszony gestem jej dłoni usiadł na krześle po drugiej stronie biurka. Uśmiechnęła się, co wreszcie przydało jej twarzy nieco kolorów, sympatia zamigotała w jej oczach, sugerując wewnętrzne ciepło.

- Gratuluję panu – powiedziała – Znakomite osiągnięcie.

cdn

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

desert rose, dodano 03.09.2020 09:07

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.